



Kryminał z myszką

67

# Królowa Nocy

Anna  
Kłodzińska

Anna Kłodzińska

# KRÓLOWA NOCY

Kryminał z myszką – Tom 67

Wydawnictwo Estymator

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Warszawa 2023

ISBN: 978-83-67562-76-8

Copyright © Christofer Kłodzinski

Pierwsza publikacja: Dziennik Zachodni (w odcinkach), rok 1971

## Rozdział 1

Derbach wracał pociągiem. Nie dostał już miejsca w samolocie i jego samopoczucie było nietęgie. Miał przed sobą kilkadziesiąt godzin jazdy, co nie należało do przyjemności i czego nie znosił. W dość częstych podróżach posługiwał się wyłącznie samolotami, w wyjątkowych przypadkach własnym autem, nigdy koleją – teraz jednak nie miał wyjścia.

Leżąc na dolnym pośłaniu sypialnego wagonu pierwszej klasy z irytacją przysłuchiwał się pochrapywaniu sąsiada z góry. Potem zaczął drzemać, w półśnie zdawało mu się, że jest jeszcze z Wandą i Kryśkiem w Złotych Piaskach. Mieli na te trzy wspólne dni pokój w hotelu „Diana”, przeznaczony w zasadzie dla Szwedów czy Holendrów, ale ktoś tam z ich wycieczki nie przyjechał i uprzejmi Bułgarzy zgodzili się na polski dodatek. Ostatniego dnia Derbach przeniósł żonę i synka do zamówionej uprzednio kwatery prywatnej; była tańsza i nawet przyjemniejsza. Na dłuższy pobyt „Diana” okazała się hałaśliwa, zwłaszcza ze względu na bliskie sąsiedztwo Diabelskiego Młyna, czy jak tam ten lokal się nazywał.

Teraz więc zaczęło mu się zdawać, że jest jeszcze w hotelu, że jedzą śniadanie w barze obok hallu, Wanda coś mu wyjaśnia, przedkłada, mrużąc swoje ładne, trochę krótkowzroczne oczy, a on w żaden sposób nie może zrozumieć, o co jej chodzi. Ocknął się, kiedy do drzwi zastukali rumuńscy celnicy, a później już nie mógł zasnąć i podróż dłużyla się nieznośnie.

W Warszawie wpadł od razu w wir zajęć fabrycznych. Obaj dyrektorzy – naczelny i techniczny – byli na urlopie, więc cała robota i odpowiedzialność zwały się na tego trzeciego, administracyjno-handlowego, zwanego przez personel w skrócie DA, a przez spoufaloną sekretarkę: Kaziu.

Pierwszy tydzień po powrocie z Bułgarii upłynął mu na pracy i nie było czasu na rozrywkę. Późnym wieczorem miał jeszcze tylko ochotę na kąpiel, filiżankę herbaty i czym prędzej gnał do łóżka, zasypiając kamiennym snem utrudzonego człowieka. Po tygodniu wrócił główny inżynier i natłok zajęć rozluźnił się trochę. Minister ich resortu i większość bardzo licznych wiceministrów bawiła jeszcze na urloпах, mało kto urządzał narady, można więc było odetchnąć i znowu zauważać świat dookoła.

W sobotnie popołudnie Derbach, zniecierpliwiony jedzeniem tego, co sam sobie w domu pitasił, postanowił wreszcie zjeść po ludzku i wybrał się do baru „Europejskiej”. Wiedział, że spotka tam paru znajomych, bar był w stolicy punktem zbornym smakoszy, łakomczuchów, znawców dobrej kuchni, rzadki tego rodzaju przybytek pośród jałowej warszawskiej gastronomii.

Przy stolikach nie było miejsca, usadowił się więc na wysokim stołku barowym, przejrzał z satysfakcją menu. Wybrał jajko *molet*, barszcz z pasztecikiem, zamyślił się nad pieczystym, zdecydował na kaczkę, choć przeczuwał, że nie będzie z niej pożytku. Potem dopiero rozejrzał się po sąsiadach. Obok niego łysy pan w skupionym milczeniu zajadał pieczarki w kokilce i nie raczył nawet rzucić okiem na przybysza. Ale Derbach, odkąd minęła mu pięćdziesiątka, doceniał to delektowanie się potrawami.

Spojrzał w lewo. Pierwszy stółek nie był zajęty, na następnym siedziała dziewczyna z rozrzuconymi swobodnie włosami. Piła kawę na przemian z sokiem z czarnej porzeczki. Patrzyła przed siebie, zamyślona, nieobecna, jakby daleka od tego, co się dokoła niej dzieje. Miała ładne włosy, regularny profil, matową, opaloną cerę, a na sobie kolorową bluzę, nałożoną na czarne, jedwabne spodnie, na nogach modne w tym roku japonki.

„Ładna babka” – pomyślał i zajął się barszczem. Zaspokoiwszy pierwszy głód dostrzegł, że wyciągnęła z paczki papierosa i szuka zapalek, więc uprzejmie podsunął jej zapalniczkę. Odwróciła ku niemu głowę, oczy miała podłużne, umiejętnie zrobione, koloru ciemnego piwa. Uśmiechnęła się, wtedy wydała mu się śliczna.

– *Thanks* – powiedziała cicho.

„Angielka. Albo Amerykanka. Pewnie mieszka w „Europejskim”, nudzi się sama. Ciekawe...” Odezwał się:

– *English?*

Potrząsnęła głową.

– Jestem Polką. Ale mieszkam stale w Anglii. Z rodzicami.

– Jak na Polkę urodzoną i mieszkającą za granicą mówi pani świetnie po polsku.

– Tak. Rodzice o to dbają.

– Pierwszy raz jest pani w kraju?

– Drugi. Przedtem byłam z matką, teraz przyjechałam sama.

– Nie nudzi się pani?

Uśmiechnęła się.

– *Sometimes* – szepnęła z zażenowaniem. – Nie znam tu nikogo. Właściwie znam, ale oni wyjechali na urlop.

– Kiedy pani była poprzednim razem?

– Sześć lat temu. Warszawa bardzo się zmieniła. Rozbudowała.

– Chętnie ją pani pokażę – zaofiarował się.

Kaczka miała mnóstwo gości i przestała go interesować. Zamówił kawę, zaproponował:

– Może zjemy tort hiszpański? Chciałbym panią czymś poczęstować, tak pani samotnie pije tę kawę...

Zgodziła się, kelnerka przyniosła dwa ogromne torty. W trakcie rozmowy przyglądał się dziewczynie ukradkiem. Podobała mu się. Była nie tylko ładna, ale atrakcyjna, może zresztą pociągał go nimb zagranicy, może fakt, że oboje byli akurat sami. Rzeczowo pomyślał, że ma do dyspozycji całe mieszkanie.

Wanda miała wrócić dopiero za dwa tygodnie. Tak, ale przecież nie ma do czynienia ze zwykłą cizią, która przyleci raz-dwa, za kolację i parę koniaków. Taka laleczka wymaga dłuższego obtańcowywania, a na to brak czasu. Może więc po prostu obwieść ją po mieście, potańczyć gdzieś trochę, poflirtować i tyle. Z taką warto pokazać się w lokalu.

– Mieszka pani w tym hotelu? – spytał, kiedy zjadła ostatni kęs tortu.

– Tak. Niedługo już wyjeżdżam. Z powrotem, do Anglii.

– Kiedy?

– Za dwa... nie, za trzy dni.

Miał przed barem swego fiata z Żerania, wóz był prawie nowy i prezentował się ładnie. Zaproponował dziewczynie przejażdżkę po mieście, przed wyjściem z lokalu zręcznie wtrącił swoje nazwisko i funkcję: dyrektor administracyjno-handlowy w fabryce. Jakiej – dla cudzoziemki nie miało to znaczenia, a stanowisko liczyło się, ustawiało go na dobrym szczeblu hierarchii.

– Ja się nazywam Liz Wight. Właściwie Elisabeth, ale w skrócie Liz.

– Śliczne imię – zaopiniował, skręcając w Krakowskie. Patrzyła na niego z uśmiechem, więc ujął jej rękę i ucałował nad przegubem.

Gdzieś po godzinie powiedziała, patrząc na zegarek:

– Proszę mnie odwieźć do hotelu. Nie mogę się spóźnić. Umówiłam się z dalekimi krewnymi mojej matki. Oni w nocy jadą na urlop i mają dla mnie tylko ten wieczór. Ale... – urwała, przyglądając mu się jakby z wahaniem. Więc podjął ochoczo:

– Ale jutro będzie już pani sama. Może się spotkamy? Jest niedziela, mam cały dzień do dyspozycji.

– *Well*. To jest, dobrze. Niech pan podjedzie przed hotel, powiedzmy, o dziesiątej rano.

Nazajutrz, rozemocjonowany zapowiadającą się przygodą, wstał wcześniej, aby uporządkować mieszkanie. Nie wymagało zresztą wiele trudu, opłacał sprzątaczkę, która przychodziła co drugi dzień i robiła co trzeba, a także co nie trzeba, na co patrzył przez palce.

Ostatecznie niech sobie kobieta skubnie więcej szynki, wiedział, że ma męża pijaka i z derbachowskiej spiżarni dokarmia czeredę dzieciaków.

Wyskoczył po kwiaty, ale zapomniał, że niedziela i nie znalazł ulicznych handlarek, a kwiaciarnia była daleko. Trudno, obejdzie się bez kwiatów. W domu miał zapas alkoholu, w tym dwie butelki na lepsze okazje, francuski koniak i oryginalna whisky „White Horse”. W lodówce zapobiegliwa gospośnia umieściła polędwicę, były sardynki, masło, postanowił później, gdzieś po drodze – jak wszystko ułoży się po myśli – kupić coś słodkiego. Pamiętał, z jakim apetytem spałaszowała w barze tort.

W łazience wisiał jedwabny szlafrok Wandy, biały, długi do ziemi. Ujął go w ręce, wciągnął znajomy zapach wody „L’aimant” i zadumał się. Miał wyrzuty sumienia. Już teraz, a co będzie potem?

– Po czym? – mruknął do siebie. Wzruszył ramionami. Przecież randka może się wcale nie udać, to nie dziewczyna z ulicy, lecz elegancka, przyzwolta cudzoziemka, która po prostu w jego towarzystwie zwiedziła miasto, zabawiła się trochę i...

– Trele-morele! – westchnął. Dobrze wiedział, do czego chce doprowadzić, ale już był za bardzo zaangażowany, by się cofnąć. Ostatecznie, myślał potem wsiadając do samochodu, wielu na moim miejscu zrobiłoby to samo. To nie żadna zdrada, przekonywał sam siebie, to zwykła letnia przygoda. Wanda nie ma z tą sprawą nic wspólnego, za dzień czy dwa dziewczyna odjedzie i nigdy jej nie zobaczę, zapomnę po tygodniu.

Jadąc przez Krakowskie, miał już z dziesięć argumentów na obronę swojej niewinności, robił zresztą rzeczywiście to, co tak wielu by czyniło i wmawiało sobie, będąc na jego miejscu.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI